POTRZEBA RADYKALNEJ NAPRAWY
Z Andrzejem Gwiazdą rozmawia Wojciech Chudy

Wojciech Chudy: *Znajdujemy się na progu nowej Polski. Nazywamy to w tym numerze „Ethosu" „drugim polskim przedwiośniem". Zacznijmy tę rozmowę od tego, co wywołało to „przedwiośnie". „Solidarność". Idea i ruch „Solidarności" przebiły komunistyczną zmarzlinę. W ciągu trzech lat mieliśmy rządy o „solidarnościowym" rodowodzie, a jednak ludzie z ulicy mówią z wyrzutem albo nawet gniewem: coście zrobili z tą „Solidarnością"?! Czy więc idea „Solidarności" się przeżyła i nasze „przedwiośnie" polega tylko i po prostu na oczekiwaniu na następne rozczarowania?*

Andrzej Gwiazda: „Przedwiośnie" wydaje mi się nazwą wyjątkowo nietrafną dla obecnego okresu. Przedwiośnie to okres trudny, gdy jeszcze jest zimno, zapasy zimowe wyczerpały się, a nowego jeszcze nie ma. Więc trzeba ograniczyć aktywność, przetrwać, przeczekać, aż siły natury przyniosą nam wiosnę.

Obecnie jest przeciwnie – to nie przedwiośnie, które wystarczy przeczekać. Uruchomione mechanizmy destrukcji działają nadal i powstrzymać je można tylko wielkim, zorganizowanym wysiłkiem. Jeśli się na ten wysiłek nie zdobędziemy, wiosna nie nadejdzie. Nadejdzie zagłada gospodarki - podstawy bytu narodowego.

Przedwiośnie – to tytuł powieści opisującej początki II Rzeczypospolitej. Rzeczywistość tamtych lat nieraz daleko odbiegała od marzeń o Polsce niepodległej. Obraz tamtych lat kształtuje w nas i Żeromski, i lukrowana propaganda piłsudczyków, krytyka socjalistów i ponura destrukcja endecji. Trudno dziś rozsądzić, jaki był wtedy udział nikczemności, egoizmu i prywaty, a jaki bezinteresownego patriotyzmu, solidarności i szlachetnych dążeń. Wiemy natomiast, że uzyskana niepodległość była niepodległością bez ograniczeń i niepodległością niekwestionowaną. Potrafiliśmy tę niepodległość obronić i potrafiliśmy z niej korzystać. Wiemy, że stopa życiowa Polaków zbliżyła się wówczas do rozwiniętych krajów zachodnich. Wiemy, że Polacy, aby uzyskać niezależność, kosztem wielkiego wysiłku wykupili 85% przemy-

słu będącego w rękach zagranicznych właścicieli. Kosztem nie mniejszego wysiłku zbudowano Centralny Okręg Przemysłowy – potężny przemysł ciężki, dający nam gwarancje niezależności ekonomicznej, a także Gdynię, dającą nam niezależność od niemieckich portów. Warto podkreślić, że dziś, gdy wymieniamy gospodarcze osiągnięcia II RP – dotyczą one prawie wyłącznie sukcesów przemysłu, którego właścicielem było państwo. Te osiągnięcia są dowodem, że wtedy nie mieliśmy kompleksów i wierzyliśmy we własne siły. Rząd od zera organizował życie społeczne, skutecznie rozwijał gospodarkę i bronił interesów Polski wobec innych państw. Nie znam przypadku, by dostojnik państwowy obrażał naród polski na forum międzynarodowym. Nasi przedstawiciele z godnością reprezentowali swój kraj i honor narodu.

Dzisiaj wszystko jest akurat odwrotnie.

Jedyne, co łączy te dwa historyczne okresy, to fakt, że tak niepodległość w 1918 roku, jak i obecny status z roku 1989 uzyskaliśmy bez aktywnego udziału Polaków – jako produkt uboczny wydarzeń zachodzących między mocarstwami. W 1918 roku Polacy nie odpowiedzieli na wezwanie Piłsudskiego do „czynu zbrojnego". W stanie psychicznym społeczeństwa skompensowała to rozdęta propaganda roli bohaterskiej garstki legionistów, przywracając Polakom poczucie godności i wiary we własne siły, co było warunkiem przyszłych sukcesów. Niepodległość uzyskaliśmy jednak wskutek jednoczesnego rozkładu państw zaborczych.

W 1989 roku jedyny okupant Polski, Związek Radziecki, od trzech lat był w fazie głębokich reform politycznych, związanych z odrzuceniem ideologii i radykalną zmianą pragmatyki.

Trzy pokolenia wychowały się w Związku Radzieckim w atmosferze terroru, powszechnej inwigilacji i wzajemnego donosicielstwa. Każdy cień podejrzenia o nieprawomyślność mógł każdego kosztować życie lub przynajmniej lata łagru. Na straży systemu stała Partia, KGB, wywiad i kontrwywiad wojskowy. W tych organizacjach donoszenie na współpracowników, podwładnych i szefów było obowiązkiem o tym samym priorytecie, co absolutna dyscyplina. W takim systemie proces zmian, wywracających całą dotychczasową zasadę istnienia, mógł być przygotowany wyłącznie w drodze wewnętrznego spisku w organizacjach stojących na straży ustroju. W organizacjach, w dodatku ostro rywalizujących o hegemonię, ujawnienie spisku dawało ujawniającym natychmiastowy skok w istniejącej hierarchii wpływów. Wyobraźmy sobie makiaweliczne, przemyślane i cierpliwe zabiegi przy werbowaniu kolejnego zwolennika, systemy zabezpieczeń przed denuncjacją w każdym indywidualnym przypadku. Jakie systemy gwarancji zabezpieczenia interesów indywidualnych i grupowych musiano stworzyć, by członkowie układu byli pewni, że na reformie systemu nie stracą, a zyskają? Bo przecież pierestrojka dla jej architektów miała tylko jeden cel – poprawienie swego

statusu. Jeśli aparat strzegący ustroju liczył 15-20 milionów ludzi, a wstępna faza organizacji miała objąć 5% – otrzymujemy liczbę około miliona osób uczestniczących w tajnym spisku! Ile czasu było potrzeba, aby to zorganizować? 10 lat? To stanowczo za mało.

W 1976 roku, gdy w „obozie" powstawały jawne grupy opozycyjne, proces konsolidacji zwolenników reformy musiał być już zaawansowany i obejmował niewątpliwie część działaczy opozycji. Dziś nie budzi już wątpliwości, że na pewnym etapie rozwoju w koncepcję pierestrojki została zaangażowana tajna polityka USA.

Uwagi o strajku 1980 r. w *Przerwanej dekadzie* i odpowiedź Wałęsy posłana Gierkowi na tytułowej stronie *Drogi nadziei* rzucają ciekawe światło na zaangażowanie „służb specjalnych" już od pierwszych dni strajku. Nie można dziś wykluczyć, że w 1980 r. Polska, zbyt duża i zbyt bojowa, by stać się celem interwencji, wyznaczona została na kolebkę pierestrojki. Zamiast „kolebki" powstała „Solidarność", której 10 milionów członków weszło z marszu w niezwykle aktywne życie polityczne. Naczelne dewizy: demokracja i niezależność, mimo rozpaczliwych wysiłków agentów oraz części kierownictwa i doradców wpisanych w pierestrojkowy układ, uniemożliwiły eliminację nie wtajemniczonych działaczy i wmontowanie „Solidarności" w układ z komuną. „Solidarność", dzięki społecznej aktywności, przejęłaby każdą próbę reform i przeprowadziła je zgodnie z interesem społeczeństwa, całkowicie ignorując tajne ustalenia i interesy ludzi układu.

W tej sytuacji stan wojenny był jedynym wyjściem, by pierestrojkę przeprowadzić zgodnie z interesami jej autorów. Stan wojenny był jedynym wyjściem, by zablokować demokrację i uwolnić gremia decyzyjne od narzucania decyzji przez członków „Solidarności". Selektywne aresztowania i zwolnienia, selektywny przydział ogromnych, jak na owe czasy, sum z zachodnich „niezależnych instytucji" oraz wewnętrzne decyzje personalne wyłoniły grupę akceptowanych przez komunistów osób z grona opozycji.

Równie selektywne zaopatrzenie w sprzęt poligraficzny, nagłośnienie w polskojęzycznych rozgłośniach zachodnich i poparcie przez Kościół części osób naznaczonych do firmowania przyszłej ugody podtrzymało ich popularność i zapewniło prawie bezwarunkowe zaufanie. Wskutek prostych, lecz długotrwałych zabiegów socjotechnicznych, stopniowo traciły znaczenie racjonalne podstawy zaufania, jak zgodność poglądów, akceptacja programów itp. Ich miejsce zajmowały relacje emocjonalne, coraz bardziej zbliżone do relacji między kibicami i zawodnikami. Zaangażowanie kibiców jest jednostronne. Kibice tolerują pogardliwie-komercyjny stosunek zawodników do widzów na stadionie i nie uważają za zdradę, gdy zawodnicy za pieniądze zmieniają barwy klubowe. Kibice z założenia nie uczestniczą w grze. Od swej drużyny żądają jedynie formalnego zwycięstwa, niezależnie od użytych metod, nawet gdy są to metody nieuczciwe.

Sprawdzianem stanu „psycho-politycznego" społeczeństwa było wystąpienie Wałęsy na tle Miodowicza w grudniu 1988 r. Wałęsa powiedział wtedy: „Nowa Solidarność będzie zupełnie inna niż ta z 1981 roku", „Do tej Solidarności wejdą zupełnie nowi ludzie", „Zakaszemy rękawy" oraz „Jesteśmy gotowi do wyrzeczeń". Wśród milionów telewidzów trudno było znaleźć osoby, które zauważyły te budzące grozę deklaracje. Kibiców przed telewizorami w ogóle nie interesowało, co Wałęsa ma im do powiedzenia, interesowało ich wyłącznie – kto „lepiej wypadnie".

Sprawdzian wykazał, że społeczeństwo – sfrustrowane i zmęczone długotrwałą „wojną" – kieruje się emocjami i całkowicie wyzbyło się racjonalnych motywacji. Takie społeczeństwo niezdolne jest ani do udziału w podejmowaniu decyzji, ani tym bardziej do samodzielnej aktywności. Można było przystąpić do eksportu pierestrojki do krajów satelickich, bez obawy, że Polska stanie się przykładem, jak wykorzystać reformy do zrealizowania narodowych celów.

Sposób zabezpieczenia interesów nomenklatury, wytyczenie przyszłej polityki i scenariusz przekazywania stanowisk ustalono w tajnych do dzisiaj układach w Magdalence.

Pierwszym aktem tego scenariusza był wielki spektakl telewizyjny pod nazwą „okrągły stół". Rozpoczął gen. Kiszczak programowym referatem, na który Wałęsa odpowiedział: „Przyjmuję wszystko, co pan generał powiedział". Te historyczne słowa uznane zostały za obalenie komunizmu.

Następnie wyrokiem sądu ustalono bez wyborów władze nowej organizacji pod nazwą „Solidarność", która jest „... zupełnie inna niż ta z 1981 roku". Jej cele określił Karol Modzelewski: „Przyjęliśmy niewdzięczną rolę ochrony władzy przed społeczeństwem". W kolejnych aktach scenariusza wybrano dwa parlamenty, rządy, które zachowują się jak oświeceni Hunowie w podbitym kraju, i dwu prezydentów.

W. Ch.: *Andrzej Gwiazda (zresztą cały „gwiazdozbiór") był zawsze symbolem krytycyzmu w łonie „Solidarności" i tak chyba jest nadal. Czy mógłbyś dziś, kiedy wielu Twoich kolegów wyraża siedząc w przestronnych gabinetach jakiś stopień samozadowolenia, wskazać te miejsca naszej rzeczywistości, do których odnosisz się najbardziej krytycznie z perspektywy ostatnich trzech lat?*

A. G.: Zacznijmy może od spraw gospodarczych. W kierownictwie strajku w 1980 r., a następnie w „Solidarności" znaleźliśmy się nie dzięki „układowi" i czyjemuś „poparciu", lecz dlatego, że na zebraniach Wolnych Związków Zawodowych przeanalizowaliśmy sposoby prowadzenia strajku, zasady negocjacji, a także cele, taktykę i sposoby działania związku, który kiedyś, w przyszłości, mieliśmy nadzieję stworzyć.

Gdy zaczęły się strajki, członkowie WZZ wiedzieli, co i jak należy robić. Nasze koncepcje znały załogi fabryk, w których pracowaliśmy, i dlatego wybrano nas do komitetów strajkowych. Gdy Wałęsa trzeciego dnia zerwał strajk w Stoczni Gdańskiej, zorganizowaliśmy Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Przedstawiliśmy delegatom nasze propozycje i zostaliśmy wybrani do prezydium. Następnie już „gdańska koncepcja" zyskała uznanie załóg całej Polski - więc wybrano nas do krajowych władz „Solidarności". Uznanie i afirmacja tej koncepcji, zwanej dziś „linią z 1980 r.", było warunkiem wyboru do władz „Solidarności". Okazało się, że to „uznanie" było często udawane.

Nie byliśmy wobec „Solidarności" krytyczni, lecz walczyliśmy o utrzymanie tych zasad, na jakich „Solidarność" powstała, i udawało to się nam tak długo, jak długo możliwe było odwołanie się do opinii załóg, jak długo panowała w Związku demokracja. Wcześnie dało się zauważyć, nie tylko wśród doradców, ukrywane tendencje antyzwiązkowe i antypracownicze. Po latach okazało się, że wielu działaczy wykorzystywało ruch solidarnej obrony interesów biednych, by móc służyć wyłącznie bogatym – w prywatnych klinikach, prywatnych szkołach, na stanowiskach w administracji. Dzisiaj ci działacze zajęli przestronne gabinety, a ich samozadowolenie zakłóca jedynie chyba strach przed rachunkiem, jaki społeczeństwo może im wystawić za nędzę bezrobotnych, zinstytucjonalizowane złodziejstwo, powszechną korupcję, niszczenie przemysłu i rolnictwa.

Miło byłoby móc uwierzyć, że to, co się dzieje w gospodarce, jest tylko wynikiem spuścizny „komuny", zbiegiem fatalnych przypadków czy w końcu wynikiem niekompetencji amatorów.

Lecz „plan Balcerowicza" jest spójną i fachowo realizowaną koncepcją polityczną. Każdy element tego planu jest silnie kryzysogenny i rozpad gospodarki jest wynikiem jego realizacji, a nie pogrobową zemstą „komuny".

Pod dyktando „komuny" zbudowaliśmy w Polsce potężny przemysł. Lecz około 70% gospodarki pracowało na potrzeby „systemu", a tylko 30% na potrzeby kraju. Te 30% dawało utrzymanie wszystkim pracującym, zarabiało na budowę dróg, mieszkań, „dotacje" do produkcji i inne wydatki. Według różnych szacunków w „handlu" z RWPG traciliśmy od 12 do 60 miliardów dolarów rocznie, gdy suma rocznych zarobków wszystkich pracowników wynosiła po czarnorynkowym kursie od 4,5 do 6 miliardów dolarów.

Rozpad, czy raczej autotransformacja systemu umożliwiała nam przystosowanie produkcji do polskich potrzeb i znalezienie korzystnych dla nas rynków zbytu. Wymagało to zmiany profilu produkcji, czyli „restrukturyzacji". Mając rozwinięty przemysł ciężki, mogliśmy tego dokonać własnymi siłami, zgodnie z naszym interesem i potrzebami. Mieliśmy wolną robociznę w przemyśle maszynowym, jako wynik zamknięcia wymuszonego eksportu. Nie potrzebowaliśmy kredytów – kredyt jest to bowiem kupowanie zaufania

przez gwarancje innych firm – a zaufania miała władza w 1989 roku nadmiar. Zakupy zagraniczne były niewątpliwie najłatwiejszym rozwiązaniem technicznym, lecz rzadko były uzasadnione ekonomicznie. Tak zwane nowoczesne technologie nastawione są na redukcję robocizny. W Polsce, gdzie siła robocza jest 10-20 razy tańsza, są często ekonomicznym absurdem. Polska jest krajem wyjątkowo hojnie wyposażonym w bogactwa naturalne, posiada kadrę naukową i produkcyjną o wysokich kwalifikacjach, przyzwyczajoną do bardzo szybkiego tempa pracy w trudnych warunkach. Aby to bogactwo wykorzystać, nie wolno było robić gwałtownych zwrotów w sferze gospodarczej. Należało chronić produkcję i przemysł państwowy, bo innego przecież nie było. Aby jednocześnie stymulować rozwój prywatnych przedsiębiorstw, nie wolno było stosować inflacji jako narzędzia politycznego. Należało maksymalizować zarobki, przy być może wysokich podatkach, o silnej progresji i wysokich ulgach od sum przeznaczonych na inwestycje lub składanych na inwestycyjne konta. Do granic możliwości budżetowych ograniczyć podatki przedsiębiorstw, a szczególnie odciążyć, do całkowitego zwolnienia z podatków, transport. Uzupełniając to tanim kredytem i drogim dolarem oraz którymś z wariantów Keynesowskich programów nakręcania koniunktury, przy oczywistym w tych warunkach entuzjazmie społecznym, uzyskalibyśmy burzliwy rozwój i w ciągu 2-3 lat zdolność do poważnej ekspansji ekonomicznej.

Zamiast tego zafundowano nam proceder zwany „prywatyzacją" i „plan Balcerowicza".

Przedsiębiorstwa, oprócz normalnych podatków, obciążono podatkiem obrotowym o charakterze wyłącznie cenotwórczym oraz horrendalnie wysokim podatkiem od majątku trwałego, zwanym dywidendą, wymuszając tym samym wysokie ceny na towary. Podatek od wzrostu wynagrodzeń o stopie 500%, praktycznie tożsamy z zamrożeniem płac, przy podwojeniu cen w skali roku, odebrał gospodarce polskiego klienta. Administracyjnie ustalony niski i sztywny kurs dolara spowodował, że polskie towary, mimo 15-krotnie tańszej robocizny, były droższe od towarów zachodnich. To uniemożliwiło pozyskanie odbiorcy zagranicznego. Ilość produkowanych towarów zaczęła gwałtownie spadać, a koszty utrzymania fabryki i podatki – niezależne od wielkości produkcji – musiały być rozłożone na mniejszą ilość towarów. Do inflacji politycznej, generowanej przez rząd, dołączyła inflacja kosztowa. Zamknęło się koło napędzające kryzys. Do tego dodano nam jeszcze „prywatyzację".

Załóżmy teraz, że prawdziwa jest teza „nowej władzy", iż poważne inwestycje dolarowe są warunkiem koniecznym uzyskania dochodów z polskich fabryk. Ponieważ przedwyborcza obietnica, że za wybranie Wałęsy na prezydenta Zachód zapłaci nam miliardy dolarów, okazała się fałszywa, jedynym wyjściem była sprzedaż fabryk lub akcji. Przedsiębiorca zachodni

kupując akcje wpłaca swe dolary nie na konto fabryki, lecz na konto Ministerstwa Przekształceń Własnościowych i staje się współwłaścicielem deficytowej fabryki, w którą po raz drugi musi zainwestować poważne sumy, jeżeli chce uzyskać dochód! Dodajmy do tego – wysokie ceny miejscowych surowców i półwyrobów, drogie budynki, transport i energia, małe możliwości zbytu spowodowane niską siłą nabywczą klienta. Nie rekompensuje tego niezwykle niska cena siły roboczej. W takich warunkach można liczyć na wykup fabryki w celu przejęcia jej rynków zbytu i zlikwidowania niebezpiecznego konkurenta. Dotyczy to fabryk najlepszych. Przykładów takich właśnie zakupów fabryk celem ich zniszczenia mamy już w Polsce wiele.

Niezwykle koresponduje z tą sytuacją oświadczenie T. Mazowieckiego w TV: „będziemy w pierwszym rzędzie sprzedawać najlepsze zakłady". Czy Mazowiecki mógł nie zdawać sobie sprawy, że w przemyśle, podobnie jak w redakcji pisma lub w każdym innym zespole twórczym, wystarczy wyeliminować jednostki wiodące, by zespół podupadł lub nawet rozleciał się?

Zwalanie winy na wymagania „wolnego rynku" przez kolejne rządy jest oszustwem, gdyż w Polsce nie ma wolnego rynku. Gospodarka jest nadal centralnie zarządzana, tyle że w nowoczesny sposób. Wolny rynek ma trzy części składowe: rynek towarów, rynek pracy i rynek kapitału. Rynek kapitału i rynek pracy nie istnieje. Rynek towarów jest pozorny, gdyż ceny towarów wymusza minister finansów przez administracyjne wyznaczanie podatków, w tym podatków wyłącznie cenotwórczych, przez administracyjne wyznaczanie cen energii i jej nośników oraz przez administracyjne ustalanie kursu złotego wobec innych walut. Cena robocizny również jest niemal sztywno ustalona przez ministra finansów za pomocą sławnego „popiwku".

U schyłku XX wieku policja i wojsko z wolna tracą rolę narzędzi panowania i podporządkowywania innych narodów. Źródłem panowania staje się ekonomia.

W kolejnych rządach stanowiska ministrów zarządzających wojskiem i policją, podobnie jak kierownictwa innych resortów, bez oporu powierzano coraz to innym ministrom. Jedynie ministerstwo finansów było bezwzględnie zastrzeżone dla L. Balcerowicza oraz jego doradcy A. Olechowskiego.

W. Ch.: *Co Cię najbardziej niepokoi w płaszczyźnie politycznej?*

A. G.: Polityką nazywamy zazwyczaj planowe działania na trzech poziomach. Poziom najniższy to walka o stanowiska i kariery polityków. Pośredni – to aktualna organizacja życia zbiorowego w państwie i realizacja grupowych interesów, którym politycy służą. Najwyższy poziom – to realizacja interesów narodowych, przygotowanie państwa i społeczeństwa do sprostania wyzwaniom, które może przynieść przyszłość, ze szczególnym uwzględnieniem kształtowania postaw etycznych i politycznych obywateli. W kra-

jach demokracji parlamentarnej ten poziom polityki jest raczej domeną elit społecznych, politycy poświęcają mu niewiele uwagi.

W Polsce najbardziej niepokojący jest fakt, że tak politycy, jak i grupy chcące uchodzić za elity zajmują się wyłącznie najprymitywniejszym aspektem polityki – personalnymi walkami o stanowiska.

Mieliśmy trzy rządy o biegunowo różnym kierunku politycznym; UD-cja, liberałowie, prawica, lecz wszystkie prowadziły identyczną politykę wewnętrzną i zewnętrzną. O tym, jaka polityka ma być realizowana, w ogóle się nie mówi, przynajmniej publicznie. Sejm nigdy nie rozpatrywał, czy zaproponowany skład gabinetu odpowiada wybranej linii politycznej, bo Sejm nigdy takiej linii nie ustalał. Tworzą się i rozpadają koalicje, toczą się walki między kilkudziesięcioosobowymi nieraz „partiami politycznymi", które blokują pracę Sejmu w nadziei wytargowania dla siebie jakiegoś stanowiska. Prezydent wydaje z naszych podatków wielkie kwoty na swą pokaźną Kancelarię, lecz właściwie jedyne, co za te pieniądze potrafił wymyśleć, to „przyspieszenie" nigdy nie sformułowanej polityki oraz „coś prezydenckiego", czyli zamach stanu i dyktaturę.

Rachunek prawdopodobieństwa wyklucza, by taki stan był dziełem przypadku. Jedynym racjonalnym wytłumaczeniem jest to, że ani Sejm, ani prezydent, ani rząd, a zatem Polska nie prowadzi własnej polityki. Linia polityczna została nam narzucona i ten, kto jej nie akceptuje, nie zostanie dopuszczony do wpływu na decyzje państwowe. Wiedzą to politycy, członkowie rządu, wiedzą posłowie. Wiedzą, że narzuconej polityki nie mogą zmienić. Mają do wyboru – odejść w niepamięć lub pozostać na świeczniku i walczyć o najlepiej płatne stanowiska przy realizacji zleconej polityki.

Jakie są cele tej polityki, możemy się tylko domyślać obserwując jej realizację. Zna je w Polsce kilkanaście, a może tylko kilka osób. Jestem przekonany, że prezydent nie należy do tego grona wtajemniczonych. Pełni on jednak zasadniczą rolę w jej realizacji. Ogarnięty chorobą cesarską, nieustannie tropi spiski przeciwko sobie, by się nie dać zdominować. To zmusza otoczenie do nieustannej obrony swojej pozycji. Obrona swego stanowiska w końcu wszystkim pochłania cały czas, wysiłek i zdolności tak, że nie mają już sił zajmować się niczym innym.

Polityka dla Polski została ustalona już na długo przed „okrągłym stołem". Przypuszczam, że na Malcie, jako drobny element drugiego już po Jałcie „Nowego ładu". Jeżeli więc Polska nie może decydować o własnej polityce, nie możemy mówić o demokracji, bo jej nie ma.

Istnieje natomiast pluralizm, lecz nie w wyborze kierunku politycznego, a jedynie jako jawne zabiegi o stanowiska. Jest to pluralizm ogłupiający i tych, którzy z niego korzystają, i społeczeństwo, któremu się go z satysfakcją pokazuje.

W. Ch.: *Oczywiście, to wszystko objawia swoje skutki w społeczeństwie. Jak byś dziś sformułował główne kwestie społeczne w Polsce?*

A. G.: Głównym problemem, będącym fundamentem wszystkich negatywnych zjawisk, jest społeczna akceptacja nieuczciwości. Po roku 1980, gdy bazą aktywności stało się żądanie i dążenie do absolutnej uczciwości, gdy zajadle tropiono i tępiono każdy ślad prywaty i nadużyć, nastąpiła wręcz niesamowita inwersja postaw. W 1987 roku enuncjacja J. Kuronia, że „polityka nie ma być uczciwa, polityka ma być skuteczna", została przyjęta jak objawienie nowej wiary. Rzesze wyznawców, od profesorów do robotników, z gorliwością neofitów wznosiły sztandar nieuczciwości. Pamiętam te pełne wyższości wzruszenia ramion, pobłażliwe uśmiechy wtajemniczonych i wściekłe ataki, gdy odrzucałem ten dogmat „nowej wiary".

Wszystkie stare cywilizacje, które przetrwały, wyznają etykę w przybliżeniu zgodną z Dekalogiem. To nie jest przypadek. Dekalog nie jest abstrakcyjnym zestawem egzaminacyjnym z uległości wobec Bożych nakazów. Zasady etyki zostały nam objawione jako sposób i warunek ludzkiego przetrwania. Byśmy sami nie musieli ich odkrywać.

Polacy w dużej części odrzucili te zasady.

Rząd „katolickiego premiera", by utworzyć klasę ludzi bogatych, dopuścił kradzież, jako najszybszą metodę akumulacji kapitału. Za rządów premiera spod znaku prawicy, nowo wybrany szef NIK-u, jedynej instytucji powołanej do zwalczania nadużyć, oświadczył Sejmowi, że nie będzie ścigał afer, gdyż afery są potrzebne.

Wszystkie orientacje zapadły na „dziecięcą chorobę prawicowości". Prawicowości streszczającej się do zasady: „zabierać biednym, by móc dać bogatym". Proces latynizacji przebiega szybko i spycha Polskę do formacji społeczno-politycznej o wiele groźniejszej niż zwykła neokolonialna zależność. Formacji, w której nieliczna klasa bogatych jest oddzielona przepaścią ekonomiczną od reszty społeczeństwa pogrążonego w nędzy. Gdzie prawa stanowione pod kątem interesów bogatych nie dają biednym szans na poprawienie swego statusu taniej, nieproduktywnej siły roboczej. Jeszcze żadne społeczeństwo nie potrafiło się wyzwolić z tego stanu. Próba zorganizowania się Peruwiańczyków poza państwem, jego prawami i instytucjami w alternatywne społeczeństwo biednych zakończyła się tragiczną epidemią. Cholera pogrzebała nadzieję, że z formacji latynoamerykańskiej istnieje inne wyjście niż rewolucja niszcząca klasę miejscowych bogaczy, eksploatujących swój kraj w symbiozie z zagranicznym kapitałem.

W. Ch.: *Wskazanie na zło sugeruje zarazem kierunki terapii. Jak określiłbyś więc główne punkty „naprawy Rzeczypospolitej"?*

A. G.: Naprawa Rzeczypospolitej musi odbywać się jednocześnie jako naprawa moralna i naprawa gospodarki.

Naprawy moralnej nie mogą zainicjować ci, którzy podnieśli nieuczciwość do rangi normy postępowania, a nawet cnoty.

Naprawy gospodarki nie przeprowadzą ci, którzy konsekwentnie prowadzą ją do upadku i uzależnienia od obcych interesów.

Warunkiem naprawy Rzeczypospolitej jest więc całkowita zmiana linii politycznej „okrągłego stołu" i usunięcie ludzi związanych z tym układem ze wszystkich kluczowych stanowisk w organach ustawodawczych i wykonawczych państwa oraz oczyszczenie sądownictwa z ludzi, którzy dopuścili się łamania etyki zawodowej.

Zmiana układu politycznego poprzez wybory w konstytucyjnym terminie jest mało realna. Społeczeństwo, wielokrotnie oszukane, prawdopodobnie odmówiłoby udziału w wyborach, gdyby nawet dotychczasowy układ polityczno-ekonomiczny dotrwał do końca kadencji.

Wcześniejsza zmiana układu może być jedynie przewrotem społecznym lub gabinetowym, czyli „zamachem stanu". Zamachu może dokonać albo lobby prezydenckie, albo pozostające poza kulisami związki PZPR-owskiego aparatu politycznego i represyjnego. Wszystkie pozostałe ugrupowania są zbyt biedne.

Prezydent, który zdaje się nieustannie marzyć o dyktaturze, co jakiś czas sygnalizuje swoje zamiary. Nie wiem natomiast, jak silne jest lobby prezydenckie, z jakimi ugrupowaniami ma powiązania i na czyją pomoc może liczyć. Pewnym wydaje się, że nie może liczyć na społeczne poparcie.

Aparat starej nomenklatury może być nieźle zorganizowany. Jest silny ekonomicznie przez „okrągłostołowe" uwłaszczenia i objęcie mafijnymi ruchami targowisk, parkingów i całego podziemia gospodarczego. Aparat ten dysponuje głosami drugiego co do wielkości klubu poselskiego w Sejmie. Grupa ta wykazuje coraz większą aktywność polityczną na szczeblu podstawowym, wydaje dużo pism celnie krytykujących neosolidarnościowe rządy. Lecz mimo coraz powszechniejszej w społeczeństwie opinii, że „komuna jednak rządziła lepiej", nie może ona liczyć na społeczne poparcie.

Nie należy też całkowicie lekceważyć docierających z tych kręgów sygnałów, że przygotowują się one w najbliższej przyszłości (np. druga połowa maja) do odzyskania oddanych pozycji.

Wydaje się, że nie można wykluczyć wspólnego puczu prezydenckiego w oparciu o „stary" aparat. Każdy taki pucz mógłby być groźny, gdyż krytyczny stan gospodarki wywołany decyzjami politycznymi pozwala w drodze również decyzji politycznych skokowo podnieść zarobki i stopę życiową społeczeństwa, jak również zmniejszyć bezrobocie. Natomiast rozprawy z przeciwnikami można przedstawić jako walkę z nadużyciami. Można w ten sposób zdobyć chwilowo zaufanie lub przynajmniej rozbić próbę społecznej

obrony. Taki margines czasu mógłby nowemu układowi pozwolić umocnić się na tyle, by dalej poprowadzić swą politykę bez oglądania się na interes społeczny.

Naprawę Rzeczypospolitej, czy raczej może budowę naprawdę niepodległej Rzeczypospolitej, od strony moralnej może rozpocząć tylko społeczeństwo, gdyż dotychczasowe „autorytety" utraciły zaufanie angażując się w tworzenie i promowanie układu politycznego, który okazał się niemoralny i nieskuteczny. Społeczeństwo boleśnie odczuwa skutki przyznania politykom prawa do nieuczciwości i ta praktyczna lekcja etyki szybko dociera do świadomości. Przekonanie o powszechnych nadużyciach i korupcji stanowi klasyczną bazę psychiczną samodzielnych wystąpień społecznych. Samoorganizacja społeczna jest tą jedyną siłą, która zmiatając dotychczasowy układ, ma szansę skierować politykę na drogę realizacji społecznych i narodowych interesów. Ruch społeczny, organizujący się pod hasłem etyki, jest jedyną możliwością wyłonienia nowych nieskorumpowanych elit i zmiany polityki gospodarczej. Ogólnie wiadomo, jaki kierunek powinny przybrać zmiany w polityce wewnętrznej. Szczegóły i kolejność posunięć mogą zostać opracowane po dokonaniu analizy stanu gospodarki.

W. Ch.: *Jak widzisz problem, który stał się już kalką dziennikarską: powrót Polski do Europy? W czym warto być podobnym do Europy Zachodniej? Czy mamy coś do dania tej Europie?*

A. G.: Wracając z Ameryki przez Londyn po wyjściu z autobusu odczułem ogromną ulgę: nareszcie w domu. Ale był to Paryż. Na tej podstawie Paryż zaliczam do Europy, a Londyn do Wysp, bo geograficzny środek Europy leży w Polsce. Z historii wiemy, kiedy przybyli z Azji Celtowie, Germanie, Achajowie, Arabowie, i na końcu Żydzi. Słowianie są w Europie dłużej niż sięga znana nam historia. Jesteśmy w Europie i musimy się rozepchnąć łokciami, by zająć należne nam miejsce. Jeśli pozwolimy, by to miejsce wyznaczali nam inni, będzie to miejsce neokolonii z brudną, nieopłacalną gospodarką surowcową, a my będziemy mieli status zamiataczy ulic w europejskich stolicach.

Ruscy carowie, budując pałace wspanialsze od Wersalu, byli przekonani, że wprowadzili Rosję do Europy, kacykowie Angoli czy Botswany, budując plac w stylu Kapitolu i kupując 270 cadillaków, sądzili, że dogonili USA. Nasi Europejczycy roku lub stulecia za miarę europejskości Polski przyjmują liczbę zachodnich samochodów na ulicach Warszawy i barwność opakowań w sklepach. W „Europie" ludzie jeżdżą „zachodnimi samochodami" dlatego, że zwykły pracownik kupuje samochód za dwie do dziesięciu pensji. W Polsce inżynier musi pracować na taki samochód około 70 miesięcy. W USA inżynier kupuje mleko w kolorowym kartoniku dlatego, że na ten kartonik pracuje około 30 sekund, więc nie opłaca mu się marnować czasu

na manipulacje butelkami, kapslami itp. W naszym osiedlowym sklepie okazało się, że opakowanie litra mleka w „europejskie" kartoniki kosztuje więcej niż mój inżynierski, godzinny zarobek. Dlatego rezygnuję z takiej europejskości i biegam na placyk, gdzie tanie mleko nalewają wprost z kanki w naczynia klientów.

Europa – to kraje rozwiniętego systemu świadczeń socjalnych i opieki państwa nad obywatelem. Europejczyk nie musi obawiać się przyszłości; jeśli straci pracę lub zachoruje, to wie, że dostanie bezpłatne mieszkanie, leczenie i utrzymanie. Na drodze do Europy nasi przewodnicy wymachując nam przed nosem kolorowym kartonikiem prowadzą nas w przeciwnym kierunku. W kierunku Ameryki Łacińskiej, a może Botswany.

Co możemy dać Europie? Niewiele. Jesteśmy zbyt ubodzy, nie tylko materialnie, duchowo też. Dla mnie problematyczna jest możliwość eksportu wartości chrześcijańskich przez kraj, w którym tych wartości się nie przestrzega. Przez kraj, w którym przywódcy ogłosili, że polityka nie powinna być uczciwa, a naród zaakceptował nieuczciwość w życiu i działalności publicznej. Czy autorytety, które uchyliły się od protestu wobec publicznych wezwań do odrzucenia podstawowych wartości chrześcijańskich na swoim terenie, będą przekonywające w nakłanianiu innych narodów do ich przestrzegania?

Lublin-Gdańsk, maj 1992 r.